

Fragment książki:

W jego ranach nasze zbawienie, teologia sakramentów uzdrowienia

pod redakcją ks. Krzysztofa Porosło

Tomasz Grabowski OP, ks. Krzysztof Porosło

SKRUCHA I DZIĘKCZYNUJENIE
- KATECHEZA MISTAGOGICZNA
O SAKRAMENCIE POKUTY¹

KP²: Nie jesteśmy teraz w auli konferencyjnej, tylko w kaplicy, bo nie będzie to wykład akademicki, lecz katecheza mistagogiczna, czyli taka, która jest głoszeniem Bożego słowa i wprowadzaniem w rzeczywistość sakramentu pokuty i pojednania. Ma ona pomóc w przeżywaniu sakramentu spowiedzi. Każdy z nas przy jego celebracji przeżywa pewne trudności, które oczywiście rozgrywają się na różnych poziomach i mają różny stopień intensywności. Kiedy ktoś mnie pyta, jak spowiedź jest najtrudniejsza, to zawsze odpowiadam, że moja własna. Tak po prostu jest, że dla każdego przyznanie się do własnego grzechu i zmierzenie z prawdą o nim jest trudne, nawet jeśli wiemy, że jest to dla nas uzdrawiające. Chcielibyśmy w tej katechezie pokazać, co jest najistotniejsze w przeżywaniu tego sakramentu, choć zatrzymamy się też nad bardziej szczegółowymi zagadnieniami związanymi z dobrym przygotowaniem do spowiedzi. Zaczniemy jednak od uświadomienia sobie tego, czym jest grzech, a nade wszystko, jak Bóg sobie z naszym grzechem radzi.

Są dwie drogi, na których Pan Bóg oczyszcza nas z grzechu i go pokonuje w naszym życiu. O pierwszej rzadko mówimy, a polega ona na tym, że Bóg po prostu zabiera zło i pokusy sprzed naszych nóg, tak że grzechu nie popełniamy. W tym sensie pokonuje nasz grzech, że nie dopuszcza do jego popełnienia. Drugim sposobem jest odpuszczenie popełnionych grzechów, czyli usprawiedliwienie.

¹ Niniejszy artykuł stanowi zapis katechezy mistagogicznej głoszonej w czasie rekolekcji liturgicznych *Mysterium fascinas*

² KP= ks. Krzysztof Porosło; TG= Tomasz Grabowski OP.

Z tymi dwoma sposobami działania Boga są związane też nasze dwie podstawy: z jednej strony postawa dziękczynienia za to, że Bóg usunął zło sprzed moich nóg, a z drugiej postawa pokuty, skruchy z powodu tego, że Bóg mi grzech przebaczył.

W tej konferencji chciałbym powiedzieć o pokucie i skrusze na przykładzie jednego ze świętych. Ich życie jest też miejscem teologicznym, więc można się uczyć teologii i poznawać Boga, patrząc na życie konkretnych świętych. Chyba najlepszym przykładem do nauki postawy pokuty i nawrócenia jest św. Augustyn. Myślę, że każdy z nas mniej lub więcej wie o Augustynie, ale na pewno nie jest on osobą kompletnie nieznaną. Żył na przełomie IV-V w.: urodził się w 354 r. w Tagaście, zmarł 28 sierpnia 430 r. w Hipponie. Wiemy dobrze, że jego młodość jest naznaczona grzechem. Oczywiście w historii stworzono wiele opowieści na temat tego, jakie to były grzechy. Sam Augustyn z perspektywy czasu będzie o sobie mówił, że był wielkim grzesznikiem, ale też nie należy o nim myśleć, jako o człowieku, który nie wiadomo jak źle się prowadził. Przechodzi on pewną drogę, w której uświadamia sobie swój upadek i o tej drodze chciałbym opowiedzieć.

Na początku tej drogi Augustyn w ogóle nie widzi swojego grzechu. Jemu po prostu dobrze się żyje, osiąga sukcesy, robi karierę zawodową jako retor. W bardzo młodym wieku wiąże się też z kobietą, choć jest to konkubinat. Jest w tym związku wierny, nie wybiera sobie co chwilę innych kobiet. Wtedy też rodzi mu się syn. Z roku na rok jest coraz lepszym retorem, osiąga w tej dziedzinie coraz większe sukcesy, dzięki czemu zmienia miejsce zamieszkania, przenosząc się do Mediolanu, który w tamtym czasie był rzeczywistą stolicą Cesarstwa Rzymskiego.

Właśnie tam zaczyna się droga jego nawrócenia: spotyka i słucha kazań Ambrozego, biskupa Mediolanu, który potem go ochrzci, rozmów z przyjaciółmi, oczywiście towarzyszy mu cały czas wstawiennicza modlitwa jego matki.

Początkowo Augustyn nie widzi nic złego w tym, jak postępuje. Wręcz przeciwnie, robi wszystko, żeby te różne pożądliwości i pragnienia, które w nim są, rozwijać, bo sprawia mu to po prostu przyjemność. Ma poczucie, jak sam o tym pisze, życia szczęśliwego. Takie doświadczenie towarzyszy mu aż do momentu, w którym zaczyna zauważać, że jego wolność jest skrępowana, że- jak to sam ujął- „ciągle wikła się w sprawach tego świata”³. Pierwsza rzecz, którą zauważa, to przywiązanie do grzechu, które nazwał „łańcuchem, który mnie oplótl”⁴. Augustyn zauważa, że nie może decydować sam o sobie i są takie rzeczy w jego życiu, które są silniejsze od niego, przez co nie może wybierać w sposób wolny. Zaczyna je

³ Św. Augustyn, Wyznania VIII, 1, tłum. Z. Kubiak, Kraków 2006, s. 195.

⁴ Por. tamże, VIII, 5, s. 203

wymieniać. Pierwszym z nich, które najsilniej go ogranicza, jest przywiązanie do kobiety⁵. Jest ono tak silne, że zupełnie przyszły biskup nie wie, jak ten łańcuch rozerwać. Zresztą będzie to ostatnie przywiązanie, które na drodze nawrócenia uda mu się pokonać. W swojej autobiograficznej spowiedzi- bo tak należy rozumieć oryginalny łaciński tytuł *Confessiones* – Augustyn przyznaje, że łatwiej mu było zwalczyć w sobie żądzę zaszczytów i pieniędzy oraz przywiązanie do nich, niż do kobiety. Podsumowując, uświadomienie sobie, że nie jest wolny, że coś innego nim włada, że jest spętany jakimś przedziwnym łańcuchem, było pierwszym krokiem nawrócenia św. Augustyna.

Drugim był moment, w którym zaczął to przywiązanie nazywać grzechem⁶. Sam zaczął mówić, że już jasno widzi swoją grzeszność, ale bardzo boi się zerwać z grzechem. W Wyznaniach możemy przeczytać:

Zamiast lękać się, że tyle brzemion mnie przygniata i pęta raczej się lękałem, że będę od nich uwolniony. [...] Chociaż ze wszystkich stron mi okazywałeś, że taka jest prawda, i byłem już o tym zupełnie przekonany, umiałem Ci odpowiadać tylko sennymi słowami omdlałego człowieka: „Jeszcze chwilę! Jeszcze tylko chwilę! Poczekaj nieco...”⁷

Ta chwila niestety ciągle się przedłużała, a nawrócenie było oddalone w czasie. Ostatecznie Augustyn powie o powodach tego zwlekania następująco:

„Daj mi czystość i umiarkowanie, ale jeszcze nie w tej chwili” Był we mnie lęk, że mógłbyś mnie zbyt szybko wysłuchać i od razu mnie uleczyć z choroby pożądania, które chciałem raczej nasycić niż zgasić⁸.

On już doskonale wie, że grzeszy pożądliwością i brakiem czystości. Wie, że jest to zło. Widzi, że to pożądanie nim włada, odebrało mu wolność. Nawet wie, że potrzebuje uleczenia, ale równocześnie odkłada je na później, byle nie dzisiaj. Jestem przekonany, że każdy z nas doskonale to zna, bo nieraz widzimy w sobie wiele złych rzeczy, wad i grzechów, ale nawrócenie zostawiamy na jutro, byle jeszcze nie teraz. Żartobliwie mówiąc, chcemy coś sobie zostawić, bo źle by było, gdybyśmy tacy całkiem wolni byli. Mówimy wtedy sobie: „Jedną rzecz mogę zostawić, przecież nie jest tak całkiem źle. Jeszcze nie dzisiaj, Panie Boże”. Boimy się zmiany, uzdrowienia i nieraz wolimy zostać z naszą chorobą, bo co to będzie, jak już jej nie będzie?

5 Por. tamże, VIII, 1, s. 195

6 Por. tamże, VIII, 8, s. 212

7 Por. tamże, VIII, 7, s. 210

8 Por. tamże, VIII, 7, s. 210

Tak naprawdę Augustyn boi się, że jeżeli Bóg uleczy jego duchową chorobę, to zmieni się jego życie. Wydaje mi się, że tego boimy się najbardziej- jeżeli Pan nas uleczy, to trzeba będzie zmienić życie. Kiedyś słyszałem piękną myśl, którą na zasadzie analogii można odnieść do tej sytuacji, że z regularnym, codziennym czytaniem Pisma Świętego jest tylko jeden problem: albo je czytam codziennie i muszę wtedy zmieniać swoje życie, albo odłożę je z powrotem na półkę, bo nie będę się chciał zmienić. Zmiany są niewygodne. Wolimy raczej rozsiać się w swoim życiu. Zresztą furorę w dzisiejszym świecie robi słowo 'akceptacja'. Mówimy, że akceptujemy siebie, przez co rozumiemy, że wystarcza nam to, co mamy i kim jesteśmy. Nie chcemy zmian, nie chcemy rozwoju, nie chcemy nawrócenia – po prostu się akceptujemy. Ale nie można zasiąść w wygodnym fotelu o nazwie Moje Dotychczasowe Życie i powiedzieć: „Mnie tak wystarczy, niech już tak będzie. Nie jest najgorzej, są gorsi ode mnie, więc po co coś zmieniać?”. Dokładnie tak zachowuje się Augustyn. Boi się, że Bóg coś mu w życiu pozmienia.

Kolejnym etapem na augustyńskiej drodze nawrócenia jest moment, w którym już nie tylko widzi swój grzech, ale zaczyna o nim mówić: „mój grzech”. Nie tylko widzi jakąś wadę, jakiś brak czy przywiązanie, ale zaczyna o nim myśleć jako o czymś swoim, o czymś co niejako go określa, czego nie można się zaprzeczyć. W tym sensie skrucha będzie zobaczeniem siebie w prawdzie. Stanięciem wobec Boga takim, jakim się jest, bez żadnych masek i usprawiedliwiających kamuflaży. Skrucha to nie tarzanie się po ziemi, wykonywanie pokłonów czy bicie się w piersi. Oczywiście te gesty mogą mówić o tym, co się faktycznie dokonuje wewnątrz mnie, ale w najgłębszym znaczeniu skrucha jest uznaniem prawdy o sobie – szczególnie tej dotyczącej grzechu i słabości – i wyznaniem jej wobec Boga. Augustyn tak opisuje moment, w którym stanął w prawdzie o sobie przed Bogiem, uznając swoje grzechy za własne:

Ty zaś Panie, jego słowami⁹ odwracałeś mój wzrok, abym wreszcie spojrzął na samego siebie. Bo ja samego siebie umieściłem gdzieś za swoimi plecami, aby siebie nie dostrzegać. I oto mi stawiałeś przed oczyma mnie samego, abym zobaczył, jaki jestem wstrętny, pokręcony, brudny, okryty wrzodami, ociekający ropą. Patrzyłem i ogarniało mnie przerażenie, a nie było dokąd uciec od tego widoku. Gdy usiłowałem od siebie wzrok odwrócić, Pontycjan dalej snuł opowieść swoją, którą Ty znowu

⁹ Chodzi tu o Pontycjana, chrześcijanina pochodzącego z Afryki, piastującego wysokie stanowisko na dworze cesarskim, który odwiedził Augustyna w jego domu i opowiedział mu o życiu św. Antoniego Egipskiego oraz o swoim własnym nawróceniu (św. Augustyn, Wyznania VIII, 6 [s.206-209]).

stawiałeś mnie naprzeciw mnie samego, oczy mi kłułeś mną samym, abym wreszcie zrozumiał moją niegodziwość i abym ją znenawidził. Znałem ją przecież, lecz udawałem, że nie znam: przemykałem oczy i udawało mi się zapomnieć¹⁰.

Augustyn ma doświadczenie, że Bóg odwrócił jego wzrok i otworzył mu oczy tak, że po raz pierwszy spojrzął na siebie i zobaczył prawdę. W końcu mógł stanąć przed Panem i powiedzieć: „Taki właśnie jestem. Problem jest we mnie”. Jeśli przenosimy to na nasze życie, chodzi o taki moment, w którym po raz pierwszy stwierdzamy, że to nie okoliczności są winne, nie szef w pracy, nie teściowa, nie współmałżonek, nie dzieci. To ja taki jestem i jestem winny. We mnie jest problem, a nie w innych. To właśnie moment, w którym Augustyn stanął w prawdzie o sobie przed Bogiem, uderzył się w piersi i powiedział: „to mój grzech, to moja wina, przepraszam”, jest sednem jego nawrócenia.

Konsekwencją tego stanięcia w prawdzie jest doświadczenie odpuszczenia grzechów. Dla Augustyna oczywiście jest ono związane z przyjęciem sakramentu chrztu¹¹. Kiedy jednak o tym opowiada, wskazuje, że w jego życiu rodzi się wewnętrzna harmonia, życie staje się integralne, a on sam odzyskuje utraconą wolność i pokój, którego mu brakowało. Celem całego procesu nawrócenia jest człowiek spójny, zintegrowany. Takie właśnie jest doświadczenia Augustyna: chce być taki, jakim Bóg chce go mieć. Przeciwstawia to wcześniejszej postawie: „Nie chciałem tego, czego Ty chciałeś, a chciałem tego, czego Ty nie chciałeś”¹². Tak naprawdę można sprowadzić to doświadczenie do postawy uznania Boga za Boga, uczynienia Go Panem swojego życia. Od tego momentu Augustyn zaczyna się pytać Boga, czego On chce, a nie dyktuje Mu swoją wolę. Konsekwencją nawrócenia zawsze jest nadanie Bogu centralnej – jedynej właściwej – roli w naszym życiu, uczynienie Go absolutnie pierwszym. Taką postawę można streścić w stwierdzeniu: „Panie, co chcesz, ja uczynię”. Człowiek zintegrowany bawi się w boga, nie zajmuje należnego Mu miejsca, oddaje siebie i swoje życie Temu, do którego ono należy. Jest tylko jeden Bóg i ja na pewno nim nie jestem – o tym Augustyn jest przekonany po nawróceniu

Ostatnia rzecz, o której chciałbym powiedzieć, dotyczy doświadczenia, że odpuszczenie grzechów to nie tylko rozliczenie z przeszłością, ale także łaska dana na przyszłość. Augustyn coraz lepiej zaczyna rozumieć, że kiedy Pan Bóg wchodzi w jego życie, to nie tylko po to, żeby mu powiedzieć: „wiesz co, Augustyn? Ja ci wybaczam wszystko, co robiłeś”, ale równocześnie, aby mógł usłyszeć: „Ja ci daję dary na przyszłość, Ja cię obdarzam

10 Tamże, VIII, 7 (s.209-210).

11 Por. tamże, IX, 2 (s. 226).

12 Tamże, IX, 1 (s. 223)

swoją łaską, po to żebyś dalej pięknie żył”. Augustyn wiele razy będzie wspominał ten dar wybaczenia grzechów, ale zawsze zaznaczając też, że został obdarowany łaską potrzebną do życia na drodze nawrócenia. Tak wspomina o tym chociażby w *Wyznaniach*:

Czytałem: „Zadrzyjcie i więcej nie grzeszcie”. O, jakże mnie to poruszyło, Boże mój, gdy się wreszcie nauczyłem drzeć z lęku nad moją przeszłością, aby w przyszłości nie grzeszyć¹³

Augustyn po nawróceniu zaczyna patrzeć na siebie i swoje życie z perspektywy Bożego planu zbawienia. Nawet wtedy, kiedy czuje się bezradny wobec swoich grzechów i przywiązań, zauważa, że Bóg przygotował już dla niego łaskę nawrócenia. Może jeszcze na razie jej nie chce, może jeszcze nie ma sił do zerwania z grzechem, ale równocześnie wie, że w przyszłości ma prowadzić życie samotne, że zostanie księdzem i będzie służył Panu. Nosi w sobie doświadczenie, że Bóg już a dla niego cały plan na przyszłość, pomysł na jego szczęście. Dostrzega, że nawrócenie to nie tylko moment, w którym Stwórca rozlicza go z przeszłości, odpuszczając grzechy, ale że Pan ma już przygotowany dla niego niesamowity pomysł na dalsze życie. Kiedy stajemy przed Nim skruszeni, to stajemy w prawdzie o nas i naszej słabości. Bóg jednak w swoim miłosierdziu widzi dalej. Widzi nie tylko kim jesteśmy w tym momencie, ale też kim możemy i winniśmy się stać.

TG: Żeby dobrze przeżyć skrucę, trzeba odróżnić ją od poczucia winy. One nie są ze sobą tożsame. Czym zatem jest poczucie winy? To przede wszystkim stan emocjonalny, który składa się z kilku komponentów. Podstawową jest lęk, który może się karmić różnymi motywacjami. Może nimi być obawa przed konsekwencjami (*nota bene* jest to coraz rzadsza sytuacja), które spotykają mnie na skutek przekroczenia prawa. Ewentualnie tym, czego się obawiam będzie to, że nie wypadnę w czyichś oczach tak dobrze, jakbym chciał.

Kolejną komponentą poczucia winy może być, na przykład, rozczarowanie tym, kim się okazałem być, popełniając dany czyn. Częstokroć obok lęku i rozczarowania pojawi się smutek, kolejny element poczucia winy. Trzeba jednak rozpoznać jego charakter: czy jest to przygnębienie kogoś kto odniósł porażkę czy raczej kogoś, kto współczuje osobie, którą skrzywdził. Są to dwa zupełnie różne sposoby przeżywania smutku. Nie zapominajmy też o wstydzieniu, który współtworzy wraz z wymienionymi już elementami poczucie winy. Zdaje się on mówić: „Nie jestem tylko tym, który dopuścił się zła, jestem kimś lepszym”. Wstydzimy się, bo intuicyjnie czujemy, że dana sytuacja nie mówi całej prawdy o nas. Dlatego

13 Tamże, IX, 4 (s. 231).

chcielibyśmy ją unieważnić, sprawić, by nas nie określała, i wyrazem tego dążenia jest wstyd. Mógłbym – jak każdy z was – wymieniać jeszcze inne komponenty poczucia winy: pogardę, samooskarżenie, zgodę na karę lub wypieranie i zaprzeczanie, odczucia związane z przeżywaniem odpowiedzialności. Nie będę jednak poświęcał więcej czasu na analizowanie tego stanu, ponieważ wszystkie emocje, które składają się na poczucie winy, nie są skruchą. Są co najwyżej echem popełnionego zła moralnego.

Podkreślam to, ponieważ przez niniejszą katechezę chcemy „domknąć” rekolekcje o sakramentach uzdrowienia. Katecheza mistagogiczna ma wprowadzić nas w tajemnicę i pokazać sposób właściwego przeżywania sakramentu spowiedzi. Nie możemy zatrzymać się na tym, co łatwo przesłania tajemnicę pokuty i pojednania. Pierwszą rzeczą, która może ją przesłonić, jest zdominowany lub wręcz zastąpiony przez przeżywanie poczucia winy.

Jeśli skrucha nie jest poczuciem winy, to jak wzbudzić ją w sobie? Trzeba zapytać samego siebie o zło własnego grzechu. Co jest złem w tym, że nie pójde do kościoła? Co jest złego w tym, że skłamię? Co jest złego w tym, że ulegnę lenistwu? Na czym polega zło konkretnego wyboru trzeba zadać nie tyle w sposób abstrakcyjny – w oderwaniu od relacji, w jakich żyję – ale maksymalnie konkretnie. Pytam, w jaki sposób zło, które popełniłem, dotknęło osób będących w relacjach ze mną. Nie chodzi wyłącznie o odniesienia horyzontalne, czyli do innych ludzi. Trzeba zadawać to pytanie także w kontekście relacji zasadniczej, czyli wertykalnej – z Bogiem. Co się wydarza w mojej relacji do Niego, kiedy grzeszę?

Wiemy, że grzech nie może Boga dotknąć czy zranić. Często jednak mówimy, że „ranimy Pana Boga naszymi grzechami”. Z perspektywy klasycznej teologii – jedynej, jaką Kościół dotychczas przyjął jako swoją – taki sposób ujmowania problemu jest bardzo niemądry. Mój grzech nie dotyka Boga. Nie, grzech nie ma takiej siły, żeby Go dosięgnąć. Naprawdę nie ma i nie powinniśmy wyobrażać sobie, że grzesząc wyrządzamy Mu krzywdę. Nie, Bóg nie jest podatny na cierpienie. Owszem, potrafi współczuć – do tego, jest zaledwie cieniem. Ale mimo to zło jakiegokolwiek naszego czynu nie jest w stanie zranić Boga samego, ponieważ Pan jest zawsze większy od zła. Wobec tego na czym polega zło grzechu widziane w perspektywie relacji między stworzeniem a Bogiem?

Innymi słowy dlaczego grzech jest zły? Czy dlatego, że jest przekroczeniem i złamaniem zakazów zawartych w kodeksie ustanowionym przez Boga? Nie. Kodeks jest po to, żebyśmy mogli łatwiej rozpoznać to, co jest złe, i odróżnić od tego, co jest dobre. Prawa Boże są konsekwencją tego, kim jest Prawodawca i do czego powołał stworzenie. Może więc grzech jest zły, ponieważ jest naruszeniem Boskiej woli? Bliżej, ale jeszcze za mało. Gdyby

chodziło wyłącznie o przekraczanie rozporządzeń Bożej woli, wówczas postępowanie zgodne z nią byłoby spełnianiem apodyktycznej boskiej „zachcianki”, uległością wobec boskich kaprysów. Pan nie powołał nas do bycia niewolnikami, ale synami.

Grzech jest zły, ponieważ narusza porządek wpisany w stworzenie, neguje autorytet Stwórcy i sprawia, że grzesznik nie jest zdolny poznać Boga. I stąd jest zaledwie mały krok do stwierdzenia, że grzesznik pozbawia się możliwości zbawienia, ponieważ polega ono na poznaniu Boga, a grzesząc, pozbawiam się owego przywileju. Jeśli nie jestem zdolny poznać Boga, nie jestem też zdolny do bycia zbawionym.

Przyjrzyjmy się jeszcze przez chwilę smutnej prawdzie o grzeszniku. Grzesząc, dopuszczam się czegoś, co jest całkowicie odmienne od zamysłu Boga. Wprowadzam w siebie samego różnicę pomiędzy porządkiem, do którego zostałem stworzony, a tym, co wybieram. Bóg daje mi istnienie, a ja wybieram coś, co nie zasługuje na bycie, ponieważ od Boga nie pochodzi. Trwanie w stanie sprzecznym wobec porządku stworzenia jest omówieniem Stwórcy: „Wolę mój niż Twój świat, wykluczam Cię ze świata, w którym żyję, to a to należy wyłącznie do mnie; ja a nie Ty ustanawiam reguły w moim świecie”. Ostatnie słowo grzesznika brzmi: „Ja jestem bogiem”.

Zły czyn wprowadza w stworzenie wadę, która sprawia, że staje się ono niezdolne do poznania, kim jest, i zrozumienia, jaki jest Bóg. Niestety nasze konkretne czyny świetnie odpowiadają tej charakterystyce. Często bardzo proste i wydawałoby się, że nic nieznaczące. Na przykład jeśli kłamię, staję się niezdolny do poznania, kim jest, i zrozumienia, jaki jest Bóg. Niestety nasze konkretne czyny świetnie odpowiadają tej charakterystyce. Często bardzo proste i wydawałoby się, że nic nieznaczące. Na przykład jeśli kłamię, staję się niezdolny do poznania Bożej prawdomówności. Swoim własnym grzechem sprawiam, że nie jestem w stanie zrozumieć oczywistości Bożej prawdy i tego, co to znaczy być prawdziwym według Bożej miary. Inny przykład: grzesząc pychą, staję się niezdolny do zrozumienia, że Bóg jest wszechmocny. Nie pozwólcie, by zwiódł was dość banalny charakter wymieniony przykładów. Utrata zdolności poznania Boga oznacza bycie potępionym, ponieważ przepaść pomiędzy mną, a Nim staje się nie do przebycia. Mijam się ze Źródłem życia, nie mogę na nie trafić, błąkam się po pustyni, aż w końcu umrę z pragnienia. Dzieje się tak, ponieważ odrzucam Boży porządek i nie okazałem Stwórcy czci i posłuszeństwa. Stałem się ślepy. Bóg się nie zmienił, nie odwrócił się ode mnie, nie stał się bardziej niewidzialny, niż był przedtem. To ja, grzesznik, uległem zmianie. Z opłakanego położenia, w którym się znalazłem, nie jestem w stanie wyciągnąć się sam za włosy. Jeśli zbawienie jest poznaniem Boga i

przeżywaniem relacji do Niego całą swoją naturą, to grzesząc, sprawiam, że nie jestem w stanie przyjąć Bożego Objawienia. Oto zło grzechu.

On nie rani Boga – uszkadza stworzenie i przekreśla w nim szansę na poznanie Boga. Dopiero, kiedy przywróciliśmy odpowiednią wagę nieposłuszeństwu wobec Boga, które okazujemy poprzez grzech, można zrozumieć dlaczego posłuszeństwo wobec Niego ma sens zbawczy. Bóg jest tym, który jest najwyższy; Jemu należy się wszelki prymat, każde pierwsze miejsce. Dla kogoś, kto mógł Go poznać, do uznania tej prawdy nie potrzeba innych argumentów poza tym jednym – Bóg jest Bogiem. Dlatego wyłącznie Jemu należy się najwyższy wyraz czci i posłuszeństwa. Stworzenie – ponieważ jest stworzeniem – jest zobowiązane, by w Bogu rozpoznawać swojego Stwórcę i działać wobec Niego jako wobec Władcy i Pana. Jeśli stworzenie odmawia uznania Jego prymatu – grzeszy. Odwracając się od Boga, dopuszcza się skandalicznego zła, ponieważ Bóg nie jest rozpoznany i czczony tak, jak być powinien.

Jeśli postrzegam grzech w ten sposób, to skrucha odzyskuje właściwe znaczenie. Jest pełnym żalu płaczem nad moim fatalnym położeniem, ale przede wszystkim nad tym, jak potraktowałem Najwyższego – dopuściłem się zbrodni odebrania Mu chwały. Nie uczciłem Go w takim stopniu, jak On na to zasługuje ze swojej natury. Nie dlatego, że każe, tylko dlatego, że taki jest. Teraz można zrozumieć gorycz łez pokutujących i łaskę przebaczenia, którą wypraszą.

Wcześniej wspomnieliśmy, że są dwie drogi, na których człowiek dostępuje przebaczenia i na których człowiek przeżywa swoje uniżenie w stosunku do Boga. Jedną z nich jest droga św. Augustyna: pokutującego grzesznika, który rozpoznaje prawdę o sobie i wraca do Boga. Drugą jest ta, którą przypomniała nam św. Teresa z Lisieux, zwana Małą Teresą: „droga bez kamieni”, czyli ta, na której się nie grzeszy. Pamiętam zaskakującą odpowiedź pewnej dojrzałej kobiety, która odpowiedziała na retoryczne pytanie księdza. Działo się to na rekolekcjach, kapłan głosił kazanie i powiedział w nim trochę nieopatrznie: „co byśmy robili gdybyśmy nie grzeszyli?” Uzasadnił, że naturalną rzeczą jest, że człowiek grzeszy. Musimy się do tego przyzwyczaić. Wtedy z ostatniego rzędu pewna pani, starsza ode mnie o ponad trzydzieści lat, zawołała: „Chwalilibyśmy Pana!”. Celem życia chrześcijańskiego nie jest wyłącznie zmaganie się z grzechem. Dążymy do porzucenia grzechu. Celem jest stan, w którym przyjmę dar przebaczenia, usprawiedliwienia w Chrystusie i będę żył w nowy sposób – siłą, napędem, energią przebaczenia.

Na tym właśnie polega droga uniżenia. Była to droga Małej Teresy, a jeszcze wcześniej Najświętszej Maryi Panny. Polega ona na tym, że święty dostrzega, że w jego życiu

nie pojawia się grzech ciężki. Ale czy przestał być grzesznikiem? Żadną miarą! Nie upada tak bardzo, ponieważ Bóg usuwa przeszkody spod jego stóp i nie pozwala, by się potknął. Dlatego mówię, że jest to droga Najświętszej Maryi Panny. Ona nie wyrzeka się tego, że jest człowiekiem, a więc kimś zdolnym do popełnienia grzechu. Nie wymyśliłem tego, lecz ojciec duchowny krakowskiego seminarium tak powiedział. Przyjąłem tę myśl, a jej autorowi oddaję głęboki szacunek, ponieważ jest to bardzo mądre spostrzeżenie. Najświętsza Maryja Panna urodziła się jako człowiek, a w Ewangelii możemy przeczytać Jej genealogię, na podstawie której widać, że wywodzi się z grzeszników. Ona jest jedną spośród nas. To, że została niepokalana poczęta, jak mówi dogmat, jest Jej dane na mocy przyszłych zasług Jej Syna. Bycie Niepokalaną nie jest Jej naturalną zdolnością czy też owocem wysiłku woli. Owszem, nie popełniła grzechu, ale nie stało się tak z powodu wyłącznie Jej wysiłków. To dar Boga ustrzegł Ją od grzechu pierwotnego i jego konsekwencji.

Najświętsza Dziewica modli się słowami: „wejrzał Pan na uniżenie swojej służebnicy” (por. Łk 1,48). Słowa te oznaczają, że żyje w uniżeniu. Nie jest ono płaczem nad swoimi grzechami, a więc skruchą, ale jest dziękczynieniem, ponieważ Bóg pokorną Służebnicę ustrzegł przed upadkiem. Najświętsze grzechy, które moglibyśmy popełnić, są przed nami. To te, do których jesteśmy zdolni, a których wyłącznie dzięki łasce Bożej wciąż jeszcze się nie dopuściliśmy. Popełnienie zła w przeszłości, a nawet doświadczenie przebaczenia nie chroni przed grzechem. Pomimo danej mi łaski pojednania jestem nadal zdolny do wszystkiego zła. Wielu bardzo porządnych ludzi dopuszczało się wielkich świństw. Jeśli jeszcze ich nie popełniłem, to tylko dlatego, że Bóg usuwa kamienie spod moich stóp, abym się nie potknął. Na mocy zasług swojego Syna chroni mnie przed grzechem, abym nie popadł w niezdolność przyjęcia zbawienia, w niezdolność poznania Boga. To wyłącznie Jego zasługa. Jeśli dostrzegam tę prawdę w swoim życiu, wówczas mogę przeżyć uniżenie wyrażające się w dziękczynieniu. Nie dotyczy ono konkretnego zła, którego się dopuściłem, nie jest to skrucha z powodu konkretnego czynu, który popełniłem, ale postawa wynikająca z przyjęcia prawdy o mnie samym: jestem grzesznikiem. Wyrażamy ją przed przyjęciem Komunii: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie¹⁴”. Nie jestem godzien żebyś wszedł pod mój dach, ponieważ jestem zdolny dopuścić się wszelkiego zła. Zdolność do czynienia zła jest wpisana we mnie. Dlatego jestem Ciebie niegodny, ponieważ Ty jesteś święty, najczystszy.

KP: zwyczajnym sposobem działania Pana Boga dzisiaj w Kościele, w którym uzyskujemy usprawiedliwienie i przebaczenie naszych grzechów, jest sakrament pokuty i

14 W tekście łacińskim: „ut intres sub tectum meum” – „abyś wszedł pod mój dach”

pojednania. Sakrament ten, zresztą jak każdy, ma swoją ściśle określoną formułę, pewien rytuał, według którego jest celebrowany. Chciałbym teraz, odwołując się do tego rytuału, powiedzieć o kilku, w moim odczuciu najistotniejszych, rzeczach dotyczących przeżywania spowiedzi. Równoległe chciałbym powiedzieć o pewnych niebezpieczeństwach i trudnościach w myśleniu o tym sakramencie, które mogą nam przeszkadzać w jego dobrym przeżywaniu.

Pierwszym z niebezpieczeństw, które coraz częściej spotykam, jest uciekanie od właściwej formy obrzędu. Jednym z moich częstych doświadczeń pierwszego roku kapłaństwa jest pytanie: „Proszę księdza, a możemy tak jakoś normalnie, luźniej, nie w konfesjonale? Czy możemy tak usiąść i porozmawiać?” za tym pytaniem kryje się poszukiwanie w spowiedzi czegoś... no właśnie: czego? Daleki jestem od oceniania podejścia osób, którym zdarzyło się zadać takie pytanie spowiednikowi. Jestem pewien, że u zdecydowanej większości kryło się za tym pragnienie lepszego przeżycia spowiedzi. Jednakże w takiej postawie kryje się jakaś negacja dla rytuału spowiedzi; jakby w samej formie sakramentu, która jest nam przekazywana i której się uczymy w szkole podstawowej, przygotowując się do pierwszej spowiedzi, kryło się jakieś niebezpieczeństwo, jakiś balast, który trzeba odrzucić. Jakby była ona czymś dobrym dla dzieci z podstawówki, a dojrzały człowiek już jej nie potrzebuje. Rzecz jasna spowiedź dorosłego człowieka musi się znacząco różnić od spowiedzi dziecka, to jednak nie oznacza, że należy rezygnować z określonego liturgicznego rytuału, w którym jest ten sakrament celebrowany. Chciałbym, żebyśmy w czasie tej katechezy spojrzeli na rytuał jako na bogactwo, które daje nam Kościół dla zrozumienia tego, czym jest ten sakrament i dla właściwego, tym samym dojrzałego, przystępowania do spowiedzi.

Pierwszą rzeczą, na którą chciałbym zwrócić uwagę, jest miejsce, w którym sakrament jest celebrowany. Absolutnie podstawową przestrzenią w tym przypadku jest święta przestrzeń kościoła, w której znajduje się konfesjonał. Oczywiście może się zdarzyć, że spowiedź odbywa się w innym miejscu: w salce przy parafii czy oratorium, ważne, żeby to była przestrzeń wydzielona dla Boga, miejsce sakralne. Szukając spowiedzi, warto też zawsze udać się do takiego właśnie miejsca, najlepiej konfesjonału. On z jednej strony ma zapewnić dyskrecję i zachowanie tajemnicy spowiedzi, ale z drugiej strony jest miejscem widocznym, w przestrzeni publicznej, jaką jest kościół. To sprawia, że sakrament pojednania dokonuje się wewnątrz wspólnoty Kościoła, że jako grzesznik klękam przed Bogiem, prosząc moich braci i siostry o modlitwę wstawienniczą za mnie, ale także szukając pojednania z nimi, bo grzechem zraniłem całą Kościół. Musimy ciągle pamiętać, że nasz upadek rani całą wspólnotę. Jesteśmy jednym ciałem. Mój grzech jest raną tego ciała, z jego powodu ono całe cierpi. Ale ta

wspólnota chce mnie powtórnie przyjąć, pojednać się ze mną, ogarnąć modlitwą, dlatego do sakramentu pojednania klękam w jej obecności, w konfesjonale.

Po uklęknięciu tam spowiadamy się, używając odpowiedniej formuły spowiedzi. Uczymy się jej w podstawówce, kiedy po raz pierwszy mamy przystąpić do tego sakramentu. Niektórzy później, w dorosłym wieku, próbują od tej formuły uciec, traktując ją jako coś dziecinnego, jako wyraz niedojrzałości. Wychodzą z założenia, że teraz, kiedy jako świadomy i dojrzały chrześcijanin chcę się spowiadać, to formuły już nie potrzebuję. Ale to jest błędne myślenie. Każdy sakrament ma swoją formułę, jak każda celebrowana liturgia ma swój ryt, w którym się to, co dla niej istotne. Ta formuła służy, a nie przeszkadza, więc nie należy z niej zbyt łatwo rezygnować. Jednak dla spowiednika ważne jest, by penitent powiedział na początku kilka zdań o sobie, zaznaczył jakiego jest stanu, w jakim wieku. Bardzo ważna jest informacja, kiedy odbyła się ostatnia spowiedź, czy uzyskałeś wtedy rozgrzeszenie, czy nie zataiłeś jakiegoś grzechu ciężkiego i, w końcu, czy odprawiłeś zadaną pokutę. To są naprawdę ważne dane, z podania których nie można rezygnować.

Wyznanie grzechów dopełniam formułą, w której mówię, że więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie żałuję, postanawiam się poprawić i proszę ojca duchownego o zbawienną pokutę i rozgrzeszenie. Zobaczmy, ile mądrości jest w tej formule. W tej prostej, wręcz lakonicznej, formie zawiera się wyznanie Bogu, że dopełniłem wszystkich istotnych wymagań koniecznych do ważności mojej spowiedzi. Są trzy takie warunki.

Muszę wyznać wszystkie grzechy śmiertelne, czyli jasno je nazwać, tak żeby to było zrozumiałe dla spowiednika. Trzeba określić ich ilość i okoliczności, czyli muszę wyznać ile razy je popełniłem i w jakich sytuacjach. Oczywiście nie chodzi o to, żeby podawać dokładną ilość w wypadku grzechów, które często się powtarza, na przykład dwieście dwadzieścia trzy razy przekląłem. Wtedy wystarczy określić mniej więcej częstotliwość: często, rzadko, czasami, kilka razy. Jednak w wypadku grzechów ciężkich mogę podać ilość z większą precyzją, gdyż jest różnica – używając mocnego przykładu – między zdradzeniem po pijanemu małżonka, czego bardzo żałujesz, a regularnymi zdradami, podwójnym zżyciem albo stałym korzystaniem z domów publicznych.

Podobnie precyzyjnie należy określić jego jakość (co nie oznacza, że trzeba szczegółowo opisywać, jak przebiegał sam akt grzechu). Znowu użyję przykładu z zakresu szóstego przykazania, bo tutaj jaskrawo widać te różnice. Jak ktoś wyzna, że popełnił grzech nieczystości, to jest różnica między: miałem nieczyste myśli, obejrzałem treści pornograficzne, popełniłem grzech samogwałtu, zdradziłem małżonka, jestem prostytutką. To

wszystko jest grzech nieczystości, ale różnica między nieczystą myślą a pracą prostytutki jest ogromna. Dlatego tak ważne jest jasne i pełne wyznanie tego, co uczyniłem.

W formule spowiedzi wyznajemy ponadto, że żałujemy za grzechy. To drugi istotny warunek do odbycia ważnej spowiedzi. O żalu dużo mówił w swojej części o. Tomasz, dlatego nie będę tutaj rozwijał tego tematu. Ważne jest, że żałuję, iż przez swój grzech zająłem miejsce Boga w moim życiu, zepchnąłem Go na drugi plan, okradłem Go z chwały i pozycji, która Mu się należy. I to jest żal doskonały. Mogę też żałować za grzechy po prostu ze względu na to, że czeka mnie kara i może ominąć mnie wieczna nagroda – niebo, i wtedy wzbudzam w sobie postawę żalu niedoskonałego.

W czasie spowiedzi wyznajemy także, że postanawiamy się poprawić. Postanowienie poprawy nie polega na tym, że wypowiadam to zdanie w konfesjonale, nawet nie na tym, że wzmocnię je obietnicą zmiany. Nie obiecujcie w czasie spowiedzi, że się poprawicie, tylko się poprawcie. Bóg nie oczekuje od nas takiej obietnicy po pierwsze dlatego, że zbyt wiele razy jej nie dotrzyaliśmy i jesteśmy bardzo mało wiarygodni przy kolejnym jej składaniu, po drugie zaś Bóg oczekuje ode mnie przede wszystkim tego, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby się poprawić. Muszę zatem sobie uświadomić, co źle zrobiłem i dlaczego (rachunek sumienia), aby potem zastanowić się, co mogę zrobić, aby więcej tego grzechu nie popełniać. Jeżeli ktoś wyznaje w spowiedzi, że widzi swoje zaniedbanie w relacjach rodzinnych, bo nie ma czasu dla swojej żony i dzieci, i jeżeli owocem takiej spowiedzi nie jest postanowienie, że w tym tygodniu każdego dnia znacznie więcej czasu poświęci rodzinie, to znaczy, że nie zrobił żadnego postanowienia poprawy. Jeżeli na poziomie tego postanowienia nie wiem, co mogę zmienić, i nie mam żadnego pomysłu jak to uczynić, to znaczy, że tak naprawdę nie ma decyzji na zmianę. Tu trzeba konkretnych aktów woli, których nikt za ciebie nie może zrobić. Masz wolną wolę (ani nie mocną, ani nie słabą, ale wolną), a to oznacza, że możesz podejmować decyzje dotyczące swojego życia, za które możesz wziąć odpowiedzialność. Dlatego w formule spowiedzi mówisz Bogu, co i dlaczego zrobiłeś oraz że postanawiasz się poprawić i wiesz, co możesz zrobić, aby się udało.

W tej formule także bardzo ważne jest to, że ogarniamy nią i te grzechy, których już nie pamiętamy. Oddajemy je Bogu, przywołując Boże miłosierdzie i do tych spraw, które nie zostały zapisane w naszej pamięci. Rzecz jasna jeśli robię rachunek sumienia pierwszy raz od pół roku i stwierdzam, że wielu rzeczy nie pamiętam, to moją winą jest to, że żyłem tak długo bez stanu łaski i ze względu na własne zaniedbanie tak wielu grzechów nie pamiętam. Jednak istotą tej formuły jest danie spokoju sumienia, że oddaję Bożemu miłosierdziu także i te grzechy, o których zapomniałem. Nie muszę wtedy wracając po spowiedzi i potem przez

najbliższy tydzień zastanawiać się, czy czegoś nie zapomniałem i czy mogę iść do Komunii. Nie trzeba wtedy skrupulancko przeszukiwać swojego serca i pamięci, rozmyślać, czy aby przypadkiem czegoś nie zapomniałem. Oczywiście jest istotna różnica między „nie pamiętam”, a „nie powiedziałem”. Świadome zatajenie grzechów sprawia, że spowiedź jest nieważna a otrzymane rozgrzeszenie się nie dokonało, bo ja nie oddałem wszystkich grzechów Bogu, gdyż nadal obiektywnie istnieje taki grzech, który mnie od Niego oddziela, i dopóki Mu go nie oddam, dopóty nie mogę się z Nim pojednać. Niestety, ale bywa, że lęk i wstyd paraliżują człowieka przed wyznaniem wszystkich upadków. Wstydzimy się tego, co zrobiliśmy, boimy się reakcji księdza, zastanawiamy się, co sobie o nas pomyśli. A konsekwencją tego jest zatajenie grzechu, nieważna spowiedź, świętokradcze Komunie święte. A po tej kolejna spowiedź, na której znów jest zatajenie tamtego grzechu i zatajenie tego, że ostatnia spowiedź była nieważna, i spirala grzechu tylko się nakręca. Pamiętajmy, że prze Bogiem możemy stanąć w całej prawdzie. Nie musimy się lękać, Jego miłosierdzie jest nieporównywalnie większe od naszego najcięższego grzechu.

Jest też jeszcze jedna bardzo ważna rzecz: w tej formule zwracam się do kapłana mówiąc „ojcze duchowny”. Ten zwrot w niezwykle trafny sposób buduje relację między spowiednikiem a penitentem w czasie sprawowania sakramentu. W tym momencie nie ma odniesienia „kolega- kolega”, „przyjaciół- przyjaciel”, a tym bardziej „winny- niewinny”. Tu jest relacja ojciec- dziecko, która opiera się na pośrednictwie kapłana. Ono umożliwia doświadczenie Bożego ojcostwa, które dokonuje zrodzenia do nowego życia przez pojednanie i przebaczenie grzechów. W istocie do konfesjonału nie idę po to, żeby pogadać ani też po mądrą radę – choć rzecz jasna pięknie jest, kiedy kapłan umie jej udzielić – ale idę doświadczyć Bożego ojcostwa za pośrednictwem posługi ojca duchowego, którym jest kapłan.

Na koniec to, co najważniejsze: sakramentalna formuła rozgrzeszenia. Brzmi następująco:

Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła. I ja odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Pierwsza rzecz, na którą trzeba zwrócić uwagę, to Osoba dokonująca odpuszczenia grzechów. Kto odpuszcza grzechy? Bóg, który jest Ojcem. Bóg Ojciec. Przebaczenie

pochodzi tylko od Niego. Nie od fajnego księdza, który was zrozumie w konfesjonale. Nie z własnego lepszego samopoczucia po zrzuceniu z siebie balastu. To Bóg, wobec którego zawiniliśmy, przychodzi z odpuszczeniem. Jednak niezwykle istotne jest, że jest to Bóg, który jest Ojcem. Kim jest i co robi ojciec? To osoba, która nie tylko kocha, opiekuje się nami, zapewnia utrzymanie, ale nade wszystko to ktoś, *kto daje życie*. Odpuszczenie grzechów to moment, w którym Bóg nas zradza, czyli obdarowuje swoim własnym życiem. Niejako mówi: „Żyj moim życiem, Ja chcę, żebyś żył jak Ja, wedle Mojego pomysłu na twoje szczęście, uczestnicząc w Mojej naturze i Moim życiu.”

Jak się dokonuje to zrodzenie? Dzieje się ono przez Bożego Syna, który za nas umarł. Oddał swoje życie i ofiarował je mi. W konfesjonale klękam wobec Chrystusa, który mówi: „Ty żyj, a ja umrę; ty żyj, a Ja oddam swoje życie, żebyś miał je w sobie”. Stąd płynie przebaczenie, pełnia daru życia.

Dokonuje się to mocą Ducha Świętego, który najpierw odsłonił przede mną prawdę o mnie, pokazał mi mój grzech i swoją łaską wzbudził we mnie postawę skruchy i żalu oraz pragnienie nawrócenia, czyli odwrócenia się od grzechu i zwrócenia ku Bożemu miłosierdziu. Ostatecznie to Duch Święty przekazał mi dar Bożego życia przez to, że wlał w moje serce łaskę przebaczenia płynącą ze śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Szczególnie pięknie obrazuje to gest kapłana, który towarzyszy wypowiedaniu formuły rozgrzeszenia – wyciągnięcie dłoni. Jest to tzw. gest epikletyczny, czyli otwarcia *dłoń* wyciągnięta nad człowiekiem, któremu to gestowi towarzyszy przywoływanie (*epiklesis*) mocy Ducha Świętego. Niezwykle jest, że to dokładnie ten sam gest, który kapłani wykonują w czasie każdej Eucharystii, kiedy ma się dokonać przemiana chleba i wina w Ciało i Krew naszego Pana. Kapłan wyciąga wtedy dłonie nad darami chleba i wina, prosząc Boga, aby posłał Ducha Świętego dla przemienienia tych darów. Widać tutaj nierozzerwalny związek spowiedzi z Eucharystią, gdyż sakrament pojednania służy przede wszystkim Komunii, czyli zjednoczeniu z Bogiem, nakarmieniu się Nim samym.

Pamiętam jednak jak jeszcze w seminarium mój rektor, a obecnie biskup, ks. Grzegorz Ryś cudownie wytłumaczył mi, co jest istotą tego gestu. Choć nie nazwał tego tymi słowami, jednak od razu zrozumiałem, że to nie jest tylko gest obrazujący działanie Ducha, ale też gest trynitarny, wskazujący na działanie całej Trójcy Świętej. Biskup Ryś tłumaczył wtedy, że wyciągnięcie dłoni to gest ojca, który kładzie ją *delikatnie na główce swojego małego dziecka, podtrzymując ją, dając mu* poczucie bezpieczeństwa, miłość, która pozwala dziecku spokojnie zasnąć w ojcowskich objęciach. W tym geście wyrażona jest prawda o relacji Ojca z Synem, których zespala wzajemna Miłość – Duch Święty. Ta miłość Ojca do Syna w

spowiedzi przelewana jest na przybrane dzieci Boże, na synów w Synu, jak zwykle się mówić, którzy wracają przez pokutę do jedności z Ojcem. Można wręcz powiedzieć, że w spowiedzi Bóg przytula swoje dziecko Duchem Świętym. Bóg cię sobą przytula, *mówiąc*: „Jesteś Moim dzieckiem”.

Z tego obdarowania miłością płynie doświadczenie przebaczenia i pokoju. Przez słowo ‘pokój’ nie należy rozumieć tylko stanu emocjonalnego, w którym czuję się dobrze, lekko, bo kamień spadł mi z serca. Rzecz jasna taki stan też może mi towarzyszyć, ale nie jest on konieczny po ważnej i dobrej spowiedzi i na pewno nie jest on istotą sakramentu. Przez to wspomniane słowo trzeba rozumieć rzeczywistość, która się kryje pod hebrajskim słowem ‘shalom’. To wewnętrzna harmonia, integracja całego człowieka, o której wcześniej wiele mówiliśmy. To doświadczenie przebaczenia, czyli tego, że mój grzech nie jest dłużej powodem oskarżenia mnie przed Bogiem, że jestem zbawiony. Kiedy wypełnia mnie Boży pokój, który płynie z przelanej na krzyżu Krwi Chrystusa, mogę stanąć prawdziwie przed Bogiem na swoim właściwym miejscu jako sługa i jako stworzenie wobec Pana i Stworzyciela. On jest Bogiem, a ja jestem Jego unizonym sługą, którego serce jest skruszone i wypełnione dziękczynieniem za wszystko, co dla mnie uczynił. Tylko patrząc na spowiedź w perspektywie teologicznej, można zrozumieć jej sens. Ona nie jest psychoterapią, choć pomaga i uzdrawia także na płaszczyźnie psychologicznej. Ona nie jest po to, żebyśmy się lepiej poczuli i zrzucili z siebie ciężar grzechu, choć i to się w niej dokonuje. Ona nie jest po to, żebyśmy oczyścili swoje sumienia, odkurzyli je niczym mieszkanie na święta, choć takie oczyszczenie się dokonuje. Spowiedź jest po to, abym na nowo doświadczył, że Bóg jest Ojcem, a ja jestem jego synem, który zostaje na nowo zrodzony do życia, które straciłem przez grzech, synem podniesionym do życia ze śmierci grzechu.

TG: Na koniec przedstawię jeszcze kilka myśli. Zacznę od niezbyt wyszukanej metafory: oto człowiek przez długi czas buduje most. Buduje go tylko po to, żeby pod nim zamieszkać, a nie żeby dzięki niemu pójść dalej. Sakrament pojednania i pokuty można potraktować w podobny sposób. Budujemy most i skupiamy się na uzyskaniu pojednania tylko po to, żeby zostać w miejscu, z którego przyszliśmy.

Sakrament ten nie działa wyłącznie wstecz. Jest nam dawany na życie; na czas, który nastąpi po rozgrzeszeniu. Pierwszą łaską spowiedzi, podobnie jak pierwszą łaską sakramentu namaszczenia chorych, jest udzielenie łaski uświęcającej. Dwa słowa, które trudno zrozumieć: ‘łaska uświęcająca’. Łaska, przekładając na język o wiele prostszy, jest działaniem Boga. Uświęcająca łaska to wolne działanie Boga, którego celem jest

upodobnienie człowieka do Niego. Tłumacząc wszystkie trudne słowa w teologicznym pojęciu łaski uświęcającej na bardziej zrozumiałe, powiemy, że łaska uświęcająca to miłość. Miłość Boga rozlana przez Ducha Świętego w naszych sercach. Dana po to, abyśmy żyli w czasie, który następuje po sakramencie, na jej miarę i dzięki jej sile. Sakrament pojednania nie jest nam dany wyłącznie po to, żeby zrzucić z siebie balast win, ale przede wszystkim po to, żeby otrzymać siłę do nowego, innego życia. Nie po to wybudowałeś most, żeby pod nim mieszkać, lecz żebyś przeszedł po nim na drugą stronę, poza dotychczasową granicę, przeszkodę, którą spotkałeś na drodze. Jeśli będziemy o tym pamiętać i według tej wiedzy przeżywać sakrament pojednania i pokuty, wówczas doświadczymy prawdy słów: „W Jego ranach jest nasze uzdrowienie”. Wtedy właśnie!

Zwróćcie też uwagę na słowa wypowiedziane przed przyjęciem Komunii: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie¹⁵, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona adekwatność wobec Boga. „Nie jestem godzien”. To samo dzieje się w sakramencie pojednania. W nim wyznanie dotyczy konkretnych faktów, zdarzeń, a wobec nich przyznajesz się do winy i niegodności na uzyskanie Bożego przebaczenia. Jednak przyjęcie przebaczenia jest – jak sądzę – najtrudniejszym momentem w sakramencie pojednania. Wcale nie wyznanie grzechów tylko przyjęcie przebaczenia. Zwróćcie uwagę, jak bardzo często po wyznaniu grzechów wydaje się nam, że teraz najgorsze mamy za sobą. Najważniejsze się stało, teraz czekamy na „sakramentalne” pukanie, bo wiemy, że teraz jakoś to będzie, dotrwamy do końca. Owszem, ksiądz coś tam jeszcze powie, nie zaszkodzi – miejmy nadzieję... Dużo trudniej niż wyznać grzechy jest usłyszeć Boże przebaczenie, przyjmując je na serio. „Panie, nie jestem godzien, ale powiedz słowo” – powiedz, abym usłyszał. Powiedz, żeby mnie przemieniło. Słowo, które słyszysz, jest słowem przebaczenia, ale żebyś je przyjął, musi zależeć ci na tym, kto przebacza. Jeśli zależy ci na uzdrowieniu relacji z kimś, to znaczy, że ta osoba jest dla ciebie ważna. Przebaczenie uzyskiwane od Boga, oprócz rozpoznania w Nim kogoś ważnego dla mnie osobiście, wymaga wiary. Aby rozgrzeszenie dało ci moc do nowego życia, musisz uwierzyć, że On ma na myśli to, co mówi, że w Jego sercu jest to, co wypowiadają Jego usta. Uwierzyć w Boże przebaczenie to również położyć kres przekleństwu oskarżenia grzechu, które wielokrotnie słyszysz. „Oto teraz czynię wszystko nowe. To co dawne minęło” (por. 2 Kor 5,17; Ap 21,5). Usłyszeć i przyjąć przez wiarę. W sakramencie pokuty otrzymujesz rozgrzeszenie, które dokonuje się niewidzialną mocą sprawiedliwego miłosierdzia. W sakramencie Eucharystii po wypowiedzeniu frazy „Nie jestem godzien” otrzymujesz widzialny dowód pojednania z Bogiem – Słowo, które stało się

15 Por. przypis 14 w niniejszej katechezie

ciałem i pod postacią chleba daje ci siebie na język, by być twoim słowem przebaczenia i pojednania.